

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącymi sosnami.

KSIĘGA I.

D Y M.

2

Podniósłszy głowę z nad kieliszków — a nie były to kieliszki klubowe — ujrzałem twarz swoją w zwierciadle nad kominkiem... W temsamem zwierciadle odbijały się niedawno obie ich twarze. I jaki też wyraz na nich zwierciadło odbijało?...

Teraz ja tylko własną twarz widziałem — a twarz tak wykrzywioną rozpaczą i męką, że sam już siebie nie mogłem poznać.

Zacząłem szukać dokoła nowych śladów i dowodów, nie chcąc uwierzyć w fakt, który taki zamęt sprawiał mi w głowie, tak duszę ranił, serce rozdzierał, sumienie niepokoił.

Niestety, cóż tu więcej znaleźć było można? Była tam przy kominku para żelaznych szczypców do fryzowania włosów, ale zaledwie wziąłem je do ręki, odrzuciłem je z dreszczem niewymownego wstrętu. Drgnąłem, gdy z łoskotem upadły na podłogę. Taki sam odgłos, taki sam trzask usłyszałem, gdy byłem wtedy na dole. Te szczypce, oparte o kratę ogniska obsunęły się przy gwałtownym zatrzasknięciu drzwi frontowych — nie było zatem, prócz mnie, innego mężczyzny w domu — te dwie kobiety jedynie.

Bodajby już raczej był! Bodajby już był ktośkolwiek — tylko nie w tem ustronnem miejscu te dwie kobiety same — te dwie kobiety, z których jedna urazę w sercu miała i poczucie krzywdy, a druga ten ogień w żylach, gwałtowny, niepokromiony!...

Tak myśląc, tak czując — ale broniąc się tym myśłem i tym czuciem, szukałem dalej.

Jeszcze parę cienkich głowienek tliło się na kominku. W popiołach leżały resztki spalonego papieru; ten rozsypał się, gdy go dotknąłem. Na podłodze leżała tylko szpilka, co wypadła z włosów; wszystko zresztą w pokoju było na swoim miejscu — z wyjątkiem tych poduszek na otomanie i tego okropieństwa tam, wpośród nich...

I z poza krwawej, przesłaniającej mi ją mgły, wyblęśla mi znowu cudna twarz tej dziewczyny, którą ubóstwiałem godzinę temu... A teraz...

Ale może ja ją krzywdzę? Te dwie sine plamy na szyi tamtej... Ale ja się myślę pewnie! Spojrzę raz jeszcze — może mnie własny wzrok mylił — może tych piętn tam niema wcale?

I zbliżyłem się do otomany, by powtórnie i uważne przedsięwziąć badanie.

I teraz spojrzałem najpierw na nogi. Zdziwiłem się, że w bucikach, które miała, pełno jeszcze było wbitego i przymarzonego pod podeszwą śniegu. — A więc szła pieszo — tak jak tamta teraz — ona, tak delikatna, tak wątła... Czy sama szła, czy z Karmelą?... Suknię na sobie miała z cienkiej wełny — przebrała się zatem umyślnie. W innej sukni była wieczorem przy obiedzie — w innej sukni była wtedy, kiedy ja z jej wzrokiem spotkać się nie śmiałem. Ach, straszna chwila podłego tchórzostwa! Jeden moment szczerzego wyznania, a wszystkim nam byłaby oszczędzoną ta okropność grzechu i śmierci i haniebnej kary!

A jednak kto wie? Nie wiedząc, co zaszło właściwie, czyż mogłem przesądzać?... Trzeba dalej badać...

Chciałem się teraz przekonać, czy ona ma na sobie tę broszkę brylantową, podarunek ode mnie. Nie, nie miała na sobie żadnego klejnotu; nigdy jej tak skromnie ubranej nie widziałem. Czy wolno mi stąd zaczerpnąć jakąś nadzieję? Nie zdawałoby się, sądząc z wszystkiego tego, że ktoś ją tu nie spodziewanie zaciągnął. Wszystko przemawiało za tem, że przyszła tu z własnej woli, z zamiarem i po dojrzałym namyśle. A może mi się te sine piętna poprostu przywidziały...

Ale nie! niestety — widzę je, tak jak pierwszej — świadczą, oskarżają! Ach, gdyby je zatrzeć można i już nie myśleć o tem, co nasuwają!... Mimowoli wyciągnąłem ręce i chcąc nie widzieć, zakryłem je palcami...

Ale co to?... Błysk piorunu czy wyroczny pozew przeznaczenia? Jakaś niewiadoma siła pociągnęła mnie, tak że musiałem głowę odwrócić i spojrzeć za siebie. W szybie okna ujrzałem utkwionych w siebie dwoje błyszczących oczu.

A może to znowu tylko twór chorej wyobraźni? Gdyż w następnej chwili oczy te zniknęły. W mojem wzburzeniu nie potrafiłem odróżnić pra-

wdy od przywidzenia. Jednakże na samą myśl o tem, że mógł mnie ktoś zobaczyć w tej pozycji przy umarłej, zerwałem się i spiesźnie skoczyłem ku oknu.

Zawierucha śnieżna szalała na dworze, tak że niczego dojrzeć nie było można. Uspokoilo mnie to jednak, że pokój ten nie miał balkonu.

Teraz jednakże po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, co zrobię i dokąd pójdę, by nie być wyzywaniem na świadka w związku z tym strasznym dramatem, który się tutaj rozegrał.

Czy wrócić do domu i będę się starał jakoś oszukać służbę moją co do godziny mojego powrotu, czy też będę usiłował stworzyć sobie jakieś inne alibi gdzieindziej? Coś muszę zrobić, byle sobie oszczędzić męki, a Karmeli niebezpieczeństwa — byle nie świadczyć w tej sprawie. Ona tego nigdy wiedzieć nie powinna i świat tego nigdy wiedzieć nie powinien, że ja ją tutaj widziałem.

Dla mnie przepadło wszystko, co życiu nadaje wartość i powab; ale niech mi przynajmniej ten najgorszy ból oszczędzonym będzie — niech nie potrzebuję wypowiedzieć słowa, któreby tę zblaknącą lecz szlachetną duszę zepchnąć musiało w ziejącą otchłań zguby. O tem teraz myślałem jedynie — chociaż wiedziałem dobrze, że kobieta, która padła ofiarą jej dziecinnego gniewu i uniesienia, kochała mnie głęboko i warta była, bym był jej mścicielem.

A więc ucieknę stąd — niech to, co tutaj znajduje, samo za siebie mówi...

Noc burzliwa, godzina późna, miejsce ustronne, droga rzadko używana. Łatwo mi uciec przyjdzie... Więc prędko, prędko! Czemuz tak długo tutaj zostałem!

Gorączkowo zacząłem, tak jak było pierw, nakrywać poduszkami martwe członki i tę twarz oskarżycielki. Dreszcz mną wstrząsał, gdy nakrywałem te oczy (teraz rozumiałem, dlaczego tak z orbit wystąpiły). Rwąc się do ucieczki, już byłem na środku pokoju, gdy nagle stanąłem, jak martwy, myśląc, że rozum tracę.

Ktoś gwałtownie szturmował do wielkich drzwi na dole. Głośne okrzyki: „Otwierać! Otwierać!“ — rozbrzmiewały po domu, budząc niezliczone echa po pustych kątach i korytarzach.

Czy to policja? Ciemna noc, zadymka, wichura nie przeszkodziły jednak. Alarm dosięgnął władz, zginęła dla mnie nadzieja ucieczki.

Ponieważ jednak w podobnych chwilach instynkt silniejszy jest od rozumu, zgasilem świecę i po ciemności wykradłem się do sieni. Przypomniałem sobie, że jest okno, otwierające się nad daszkiem od werandy nad wyjściem na kuchenne schody. Dojdę tam tylną sionką, a będąc na dachu, zeskoczę z łatwością na ziemię; a potem już mi zawierucha dozwoli bezpiecznie uciec przez teren golfowy. W każdym razie warto spróbować; zawsze to lepiej, niż dać się złapać w tym domu obok zamordowanej narzeczonej...

Nie miałem powodu przypuszczać, że oni mnie szukają, albo że ktośkolwiek domyśla się obecności mojej tutaj. Bardzo być może, że policja nawet nie wie, jakie ją tragiczne odkrycie czeka za progiem tego domu. Może ściągnął ich z drogi błysk światła, palącego się w tym zamkniętym domu, albo ten unoszący się dym — i przyszli się przekonać, co to? Zdarzają się takie zbiegi okoliczności. — A w takich wypadkach już nieraz ludzie niepotrzebnie się zdradzali. Ale mnie się nie wolno zdradzić! Natychmiastowa ucieczka zaradzi wszystkiemu.

Drzwi chwiały się w zawiasach. Oni widocznie za wszelką cenę postanowili tu wtargnąć.

Jednym skokiem dotarłem do okna i otworzyłem je szybko. Wpadł tuman śniegu, zasypując mi piersi i twarz. Ale i otrzeźwił mnie także. Przypomniałem sobie mojego biednego konia, stojącego na tym strasznym wietrze pod śniegiem przywalonymi sosnami...

Wszyscy znali mego konia. Czyż mogłem popełnić większe głupstwo, jak uciekać tylnymi polami, podczas gdy taki dowód mojej obecności pozostawał widoczny na froncie?

W poczuciu złapanego w samotrzask zwierzęcia, zamknąłem okno; zaraz też zacząłem się oglądać za jakim bezpiecznym kącikiem, gdziebym się mógł ukryć, dopóki się nie dowiem, co właściwie spowodowało tych ludzi i czego właściwie mam się lękać po ich obecności.

Ale nie było czasu na długie namysły.

Drzwi na dole w tej chwili ustąpiły i posłyszałem, że w sieni trzech ludzi conajmniej otrępuje nogi ze śniegu. Nie spodobał mi się ton ich głosu. Mówili tak cicho i tak spokojnie. Byłbym wolał usłyszeć pijane krzyki albo wybuchy podochoconej wesołości, niż te umiarkowane, poważne szep-

ty. To ludzie zdecydowani i wiedzący, czego chcą, przybyli tutaj. Krag przeznaczenia zamyka się dokoła mnie. Mogę tylko odwrócić ten moment fatalny. Ale już lepiej choćby odwrócić, niż na łeb na szyję pograć się w toni nieprzewidywanych trudności.

Znałem wcale niezłe miejsce, gdzie się ukryć było można. W balowej sali, niedaleko od miejsca, gdzie stałem. Pamiętałem doskonale, że to było nad schodkami, prowadzącymi na galerię dla orkiestry. Galerję otaczała balustrada, podtrzymywana gżemsem z desek, dosyć wysokim, by się za nim człowiek, płasko wyciągnięty, mógł ukryć. Jeżeli tam nie zajrzą, będę miał korzyść podwójną, raz że się ukryję, a powtóre że przez główne drzwi naprzeciw będę widział, co się dzieje w sieni. Nie potrzebowałem obchodzić aż do tych drzwi, żeby się dostać na salę i na galerję; mniejsze drzwi łączyły się z korytarzykiem, na którym teraz stałem; tam też skierowałem się z jak największą ostrożnością, stąpając bez najmniejszego szelestu. Trzewiki, które zdjąłem zaraz na początku w dolnej sieni jeszcze, wciąż jeszcze niosłem w rękę. Nakrywając poduszki ciało Adeli, wróciłem po nie. Skradając się, dotarłem do balkonu i wyciągnąłem się poza gżemsem, zanim ludzie na dole wyszli z dolnej sieni.

Teraz nastąpił dla mnie okres męki i dręczącego wyczekiwania. Przetrasali pokoje parterowe przy pomocy własnych latarek kieszonkowych — wnosiłem to z ich spokojnego i pewnego zachowania. Mało mnie to pocieszało, że nie od razu udali się na miejsce zbrodni. Wiedziałem, że zanadto sumiennie i systematycznie badają, by mogli się ograniczyć tylko do dolnych pokoi. Zapewne niedługo usłyszę na schodach ich kroki, a wtedy, choćby ten swąd, jeszcze unoszący się w powietrzu, zaprowadzi ich do pokoju, gdzie leży ta biedna Adela...

I tak się też stało. Prędzej, niż się spodziewałem, rozjaśniła się od latarki zupełna ciemność, w której leżałem i posłyszałem kroki dwóch ludzi, idących wzdłuż sieni. Szli równo, choć nie bardzo szybko i wnet też doszli do drzwi naprzeciw. Tu przystanęli i zajrzeli do tej wielkiej, pustej sali.

Rzuciłem jedno szybkie spojrzenie przez drążki balustrady. Tak, to byli urzędnicy policyjni, jednego z nich znałem nawet z nazwiska — był to sierżant policyjny, człowiek godny i bardzo porządny.

Ale co ich w tak krytycznym momencie tutaj sprowadziło? Nie pojmowałem. Czy tacy ludzie, jak wyżli umieją zwęszyć zwierzyne? I w rzeczy samej, przypominali wyżłów. Nawet tem mojem przełotnem spojrzeniem zdążyłem zauważyć, jak wyteżonym a wyczekującym wzrokiem starają się przebić dzielące nas mroczne przestrzenie.

Tak, zaczęło się polowanie. To nie prosta ciekawość spowodowała ich tutaj, ani przygodne spełnienie obowiązku. Cel mieli określony, a jeżeli widok niskiej galeryjki, na której się kryłem, przedstawił im się jako możebna kryjówka, poczuje za chwilę, co znaczy wpaść w pułapkę...

Na razie jednak nie starali się zbliżyć i za chwilę, wyrzawszy znowu, zobaczyłem, że zwracają poszukiwania swoje w inną stronę.

Przekleństwo, rzucone stłumionym lecz surowym głosem — pierwsze głośniejsze od szeptu słowo, jakie usłyszałem — dowiodło mi, że weszli do tego pokoju i że to straszne, co tam leżało, ujrzeli.

I cóż oni wobec tego?... Czy poznają, kto ona, czy będą wiedzieć, jak się nazywa, kim jest? Nasłuchiwałem, ale dolatywał mnie szept tylko. Naradzali się.

Wyobrażałem sobie ich ruchy. Widziałem w duchu, jak pochylają się nad tem śmiertelnem posłaniem, jak wskazują palcem na te dwie ciemne plamy na szyi, jak naradzają się wzrokiem, od szczegółu przechodząc do szczegółu. I wyobrażałem sobie, jak idą do stoliczka i podnoszą owe kieliszki, taksamo jak ja i z wolna stawiają je na swoje miejsce, potrząsając głową, wzruszając ramionami. Aż doprowadzony do szaleństwa nieznosnem mojem położeniem, ciągnięty siłą, której oprzeć się nie mogłem, wstałem, by iść tam, gdzie ci ludzie ważą okoliczności, w które życie moje i mój honor były zaplątane — moje i tej, o której nie śmiałem myśleć, a o której lękałem się, że pomyślą oni...

Ciemno było w sali balowej i mało co mniej w korytarzu. W tamtym pokoju jedynie było światło. Ja zaś wciąż skradałem się wzdłuż ściany, jak złodziej, nastawiając uszu, czy czasem słowo jakie nie doleci.

I nagle usłyszałem. A wypowiedziane to było ze stanowczością taką, że od razu podniosłem głowę i poczułem się znowu człowiekiem.

— To rozstrzyga. Wobec tego on nie będzie się mógł wywinąć!

O n! Lękałem się, że usłyszę ona. Ale dła-